

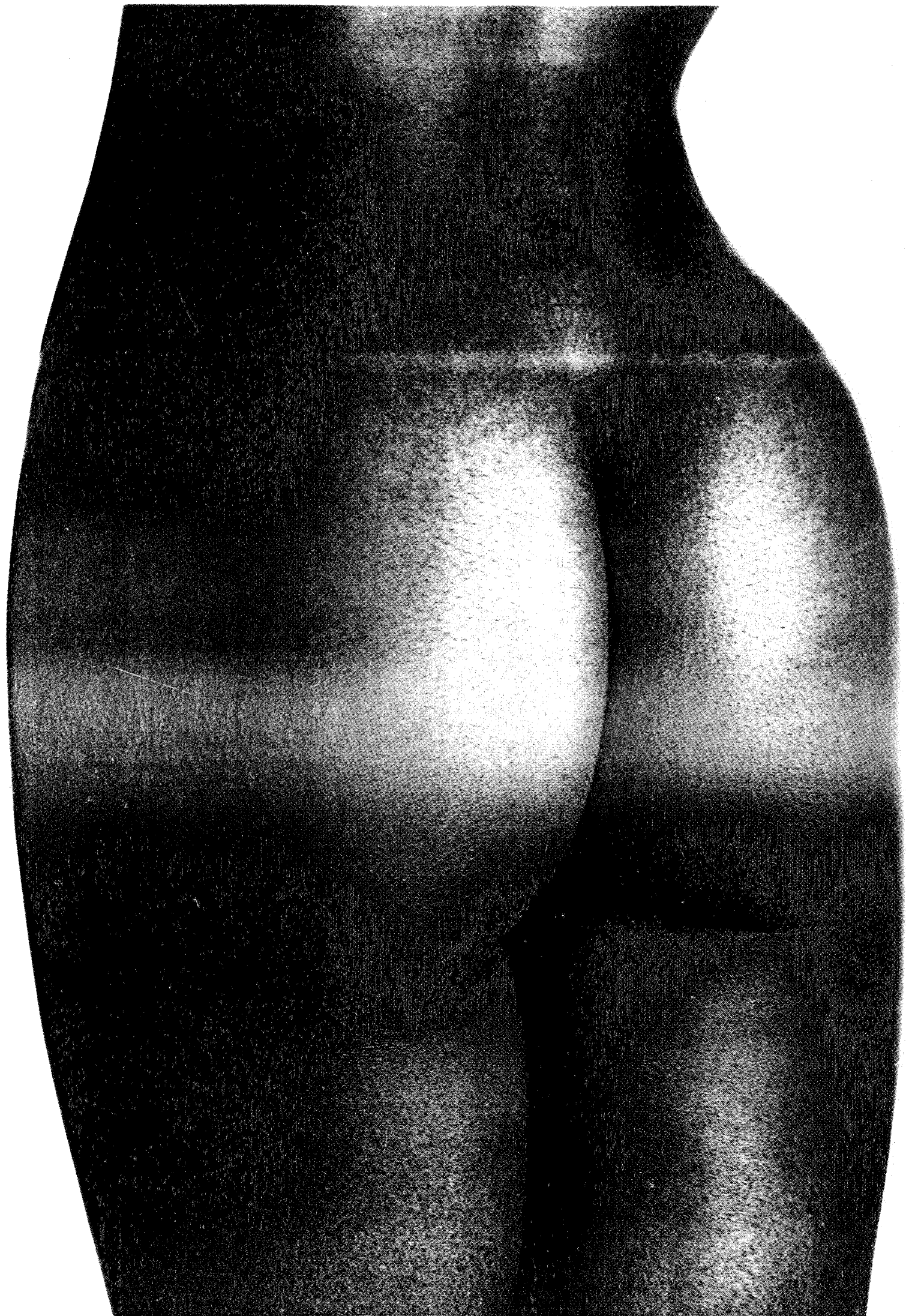


## BOCZNY TOR 13

---

### NIE ZANIEDBYWAĆ SIĘ U PROGU

Myśl nie pośredniczy. Przeżycia są niepełne. Treść zapożycza się gdzie może. Skąd w nas tyle optymizmu, czyżby ze strachu, że nie rozpoznamy się za parę lat? Imając się tępo przeświadczenia, że ocieramy się o rzeczywistość, nieraz chcieliśmy wywołać potrzebę twórczego wypełnienia beczynnych godzin. Wszak codzienna uczciwość i odpowiedzialność w działaniu angażuje emocje naszych najbliższych, przyjaciół i znajomych. My niestety zazwyczaj spędzamy czas z powiek, beznadziejnie zaprzepaszczając każdą okazję do udowodnienia, że nasz rozwój jest prawidłowy. Nie ma w nas nic harmonijnego. Nic ponad słabizm, który wypełnia po szpik: nic nas skręca, nic obezwładnia. W tym błagim stanie nad niczym nie można się skupić i niczemu nie można oddać się jak szewc, niczemu sprostać, w nic wtargnąć na całość. Dawno winniśmy sobie uzmysłwić, że nie posiadliśmy żadnych cennych właściwości, ale że zmysły nam zszargało dokumentnie, nawet do tego wprost wstyd się przyznać. Wywód nasz więc do cna zmętniały, bo jaki ma być, skoro potencjał możliwości nie zalicza się do przez nas posiadanych. Przed nami trzecie tysiąclecie. W ostatnim roku dwudziestego wieku nie wypada nudzić. Wzrasta wymaganie pracy nad sobą. W tej sytuacji należy wybić nieudacznym, tępić zwątlonych i wpajać zbłąkanym, że mus istnieć wymiennie, znaleźć odbicie, mieć oparcie w ruchach. Anachronicznie mówiąc: jest potrzeba intensywnych doznań na szerokim pograniczu, no i prostej myśli, żeby język nie świerzbił. Być, mieć, czuć. I nie zaniedbywać nasycania treścią u progu. Sprawa jest pilna, bo straty w tej dziedzinie są nieodwracalne.



# niemocja

czyli całkiem szaszłyk

1.  
pełzak wypełził penetrować  
czym sromotnie srom zasroził  
ścierpl ściśnięty śmieszna sprawa  
martw – nie ożył
2.  
ślepak oślepl po spożyciu  
jął rzępolić struną z gardła  
mogłem nie pić mogłem nie pić  
i nie czytać Sartre'a
3.  
strupiak truchlał na wieść o tym  
że być brzydkim wstyd i trzeba  
maść na krosty kłaść codziennie  
bo inaczej straszna bieda  
i gdy w ryj zwyczajem nowym  
wklepał wyciąg z fińskich glist  
tak pomyślał: mija piękno  
czymże będę bez swych blizn
4.  
miauczek dorósł niezupelnie  
by przerażać wilczym wyciem  
choć wyteżał krtań to słyszał  
jęki kocie w swym skowycie
5.  
wuj zawikłał się na wstepie  
chcąc obnażyć swoje ja  
koniec końców stało na tym  
zrozumienia ni chu chu
6.  
szaszłyk całkiem był zbaraniał  
a cebula cała w bólach
7.  
zgręza grzęzła się stresując  
że czas płynie w poprzek spraw  
gorzej, kurka, być nie może  
młodość się oddala wplaw
8.  
męczydupek nie miał weny  
włosie z łydek rwał i kłał:  
jasna mać do fiszki nędzy  
jak ukończyć com zaczął  
zrzynać nie chcę z czego da się  
niech fantazja trzyma wiosła  
i hymn powstał choć sam autor  
z krzesła nie dał rady powstać
9.  
wyteżałek potem spływał  
wytrzeszcz oczy drażył mu  
jak zakłęcie pin wklepywał  
z braku środków zbrakłoż tchu
10.  
mądrposzkodzie dumal co by  
wprzódzy zmądrzeć i zawczasu  
poznać skutki z przyczyn jakich  
dają w sumie bułkę z masłem  
kupił notes w garść wziął pisak  
i gryzmolił spostrzeżenia  
rok nie minął i zsechl na wiór  
z doświadczenia

Mój dziadek leży na cmentarzu zapomnianego przez świat miasteczka Runkel, gdzie go pochowano na wieczne odpoczywanie. Na jego nagrobku, zarośniętym zielonym mchem, umieszczone są pod zwietrzałą datą, objęte krzyżem i tak świeżo błyszczące złotem, jakby dopiero wczoraj wykute, litery:

$$\frac{V | I}{V | O}$$

„Vivo” znaczy „żyć”. Znaczenie tego słowa objaśniono mi, kiedy jeszcze byłem chłopcem i po raz pierwszy czytałem ten napis. Wyrył mi się w duszy tak mocno, jak gdyby sam zmarły zawołał je z ziemi do mnie na górę.

Vivo... żyje, zaiste osobliwa inskrypcja na grobowiec. Jeszcze dziś ją słyszę, a gdy o niej myślę, doznaję takiego uczucia jak niegdyś, kiedy przed nią stałem: widzę w duchu mego dziadka — którego przecież nigdy za życia nie znałem — leżącego tam na dole, niekniętego, ze złożonymi rękoma, oczyma czystymi i przezroczystymi jak szkło, szeroko rozwartymi i nieruchomymi. Jak ktoś, kto pośrodku królestwa zgnilizny pozostał nienaruszony i cicho, cierpliwie czeka na zmartwychwstanie.

Odwiedzałem cmentarze w niejednym mieście: było zawsze mym cichym, niezrozumiałym życzeniem, by móc przeczytać znów na jakimś grobowcu pamiętne słowo, które kierowało moimi krokami; ale tylko dwa razy odnalazłem ów napis — raz w Gdańsku, i raz w Norymberdze. W obu wypadkach nazwiska były zaarte palcem czasu. „Vivo” świeciło jasno i świeżo, jak gdyby samo słowo pełne było życia.

Od dawna wierzyłem w to, co mi już jako dziecku przekazano, że mój dziadek nie pozostawił po sobie ani jednej własnoręcznie napisanej linijki; tym bardziej podniecał mnie fakt, że niedawno, w pewnej ukrytej przegródce mego starego, odziedziczonego biurka, natrafiłem na cały plik zapisków niewątpliwie przez niego sporządzonych.

Leżały w teczce, na której można było odczytać osobliwe zdanie: „W jaki sposób człowiek może umknąć śmierci? Jedyne, gdy na nic nie czeka i niczego się nie spodziewa”. Natychmiast odżyło we mnie słowo „vivo”, które w ciągu całego życia towarzyszyło mi jak jasny blask i tylko chwilami usypiało, by niebawem — bądź we śnie, bądź na jawie — bez jakiegokolwiek przyczyni znowu i znowu odnowić się we mnie. Jeśli czasami myślałem, że mógł to być przypadek, iż „vivo” znalazło się na grobowcu — napis pozostawiono wyborowi księdza — to gdy przeczytałem ów napis na okładce książki, stało się dla mnie oczywiste, że musi tu chodzić o jakieś głębsze znaczenie, o coś, co może wypełniło całe życie mego dziadka.

I to co dalej czytałem w jego spuściźnie, strona po stronie, upewniało mnie coraz bardziej w moim przeświadczeniu.

Jest tam zbyt dużo o prywatnych stosunkach, bym mógł to powierzyć obcym uszom i wobec tego niechaj wystarczy to, co jedynie pobieżnie poruszę, a co doprowadziło do mojej znajomości z Johannem Hermanem Obereitem, i co łączy się z jego wizytą u pijawek czasu.

Jak wynikało z notatek, dziadek mój należał do stowarzyszenia Braci Filadelfijskich; zakonu, który swymi korzeniami sięga do Starego Egiptu i legendarnego Hermesa Trismegistos, którego nazywa swoim założycielem. Również „chwyty” i „gesty”, po których poznawali się członkowie, były wyczerpująco opisane. Bardzo często powtarzało się nazwisko Jahanna Hermanna Obereita, chemika, który — jak się zdaje — był blisko zaprzyjaźniony z moim dziadkiem, i który prawdopodobnie żył w Runkel. A ponieważ interesowały mnie bliższe szczegóły z życia mego przodka, jak również ponura, wroga filozofia przemawiająca z każdej linijki jego listów, postanowiłem pojechać do Runkel, by się dowiedzieć, czy przypadkiem nie żyją tam potomkowie wspomnianego Obereita i czy nie istnieje jakaś rodzinna kronika.

Trudno byłoby wyobrazić sobie coś bardziej bajkowego jak owa małeńka mieścina, która niby zapomniana okrucz średniowiecza, ze swymi krzywymi, śmiertelnie cichymi uliczkami i zarośniętym trawą, garbatym brukiem, u stóp stojącego na wzgórzu zamku Runkelstein, stałej siedziby książąt Wied, beztrudno przepływała prerażliwy krzyk czasu.

Już wczesnym rankiem ciągnęło mnie do małego cmentarza i cała moja młodość obudziła się znowu, kiedy w promiennym świetle słońca przechodziłem od jednego kwiecistego wzgórza do drugiego, mechanicznie odczytując na krzyżach nazwiska tych, którzy tam na dole drzemały w swoich trumnach.

Z daleka poznałem po błyszczącym napisie nagrobek mego dziadka.

Stary siwowłosy człowiek, bez brody, z ostro zarysowanymi rysami twarzy, siedział przed nagrobkiem. Uchwyt laski z kości słoniowej wciśnięty miał w podbródek i spoglądał na mnie przedziwnie żywymi oczyma jak ktoś, u kogo podobieństwo jakiejś twarzy budzi różne wspomnienia.

Staromodnie ubrany, prawie w stylu biedermeierowskim, w wysokim kołnierzyku z zagłębionymi różkami i czarnym, jedwabnym szerokim plastronem wyglądał jak portret antenata z dawno minionych czasów.

Byłem do tego stopnia zdziwiony jego wyglądem, który tak zupełnie nie odpowiadał współczesności, a ponadto tak zatopiony w tym wszystkim, czego dowiedziałem się ze spuścizny mego dziadka, że — prawie nieświadomy tego, co czynię — półgłosem wymieniłem nazwisko „Obereit”.

— Tak, nazywam się Johann Hermann Obereit — powiedział starszy pan, zupełnie się nie dziwiąc.

Zaparło mi nieomal dech, a to, czego dowiedziałem się w trakcie rozwijającej się rozmowy, również nie było takie, by mogło umniejszyć moje zaskoczenie.

Jak by nie było, niecodziennie spotykamy człowieka, który nie wydaje się dużo starszy od nas, a który sięga pamięcią półtora wieku wstecz. Mimo moich siwych już włosów poczułem się młodzieńcem, gdy szliśmy obok siebie, a on opowiadał mi o Napoleonie i innych historycznych postaciach, które znał, tak jak się mówi o ludziach dopiero niedawno zmarłych.

— W mieście uchodzę za mego własnego wnuka — powiedział uśmiechając się i wskazał na kamień grobowy, obok którego przechodziliśmy i na którym widniał rok 1798 — na mocy prawa tu powinienem być pochowany; kazałem wyryć datę śmierci, bowiem nie życzę sobie, by tłum podziwiał mnie jako współczesnego Mathuzalema. Słowo „vivo” — dodał, jak gdyby odgadł moje myśli — zostanie dodane dopiero wtedy, gdy już naprawdę umrę.

Wkrótce zawaraliśmy bliską przyjaźń; nalegał, bym u niego mieszkał.

Minał zapewne miesiąc i często siedzieliśmy razem do późna w nocy, pochłonięci ożywioną rozmową, ale zawsze zmieniał temat, gdy stawałem pytanie, co może oznaczać zdanie w teczce mego dziadka: „W jaki sposób człowiek może uniknąć śmierci? Jedyne, gdy na nic nie czeka i niczego się nie spodziewa”. Pewnego wieczoru jednak — był to ostatni, jaki spędzaliśmy razem — rozmowa zeszała na stare procesy czarownic, a ja reprezentowałem pogląd, że w takich wypadkach chodziło zapewne tylko o historyczne babska. Przerwał mi magle: — A więc nie wierzy pan, że człowiek może opuścić swoje ciało i, powiedzmy, pojechać do Blackbergu na sabat?

Potrząsnąłem głową.

— Czy mam panu to zademonstrować? — zapytał krótko i spojrzął na mnie ostro.

— Chętnie zgodzę się — oświadczyłem — że tak zwane wiedzy na skutek zażywania pewnych narkotyków wpadały w stan ekstazy i niezłomnie wierzyły, że latają w powietrzu na miotłach.

Zastanawiał się przez chwilę. — Oczywiście, zawsze będzie pan to mówił, również i ja to sobie wzmawiam — stwierdził i znów pograżył się w zadumie. Potem wstał i podszedł do półki po zeszyt.

— A może zainteresuje pana, co tutaj napisałem, gdy przed laty robiłem ten eksperyment? Muszę uprzedzić, że wtedy byłem jeszcze młody i pełen nadziei... — widziałem, po jego zasnującym się wzroku, że duch mówiącego wędruje wstecz ku dalekim czasom — i wierzyłem w to, co ludzie nazywają życiem, aż nadzedł cios za ciosem i straciłem wszystko, co człowiekowi może na ziemi być drogie: moją żonę, moje dzieci. Wszystko! Wtedy los zetknął mnie z pańskim dziadkiem i on nauczył mnie rozumieć, czym są życzenia, czym jest oczekiwanie, czym jest nadzieja, jak są one ze sobą splecione i jak się tym widmowem zrywa maski z twarzy. Nazwaliśmy je pijawkami czasu, ponieważ podobnie jak zwykle pijawki wysysają nam krew z ciała, tak te wysysają nam z serca czas, prawdziwy nektar życia. Tu, w tym pokoju uczył mnie, jak uczynić pierwszy krok na drodze, na której zwyciężać się śmierć i miażdży żmije nadziei. A potem — zamilkł na chwilę — tak, a potem stałem się jak drewno, które nie czuje, czy się je gładzą, czy rozrabują, rzuca w ogień czy do wody. Moje wnętrze jest otąd puste; od tej chwili nie szukałem już pociechy. Nie potrzebowałem już żadnej. W jakim celu miałbym jej szukać? Wiem: Jestem i teraz dopiero żyję. Istnieje mała różnica między „żyć” i „... żyję”!

— Pan to wszystko mówi tak po prostu, a jest to przecież okropne! — wtrąciłem wstrząśnięty.

— To tylko tak się wydaje — uspokajał mnie uśmiechając się — z bezruchu serca płynnie uczucie szczęśliwości, jakiego nie potrafi pan sobie wyobrazić. Jest to jakby wieczna, słodka melodia, owo „jestem”, które nigdy nie może zgasnąć, gdy już raz zostało urodzone, ani we śnie, ani gdy zewnętrzny świat znów się obudzi w naszych zmysłach, ani też w śmierci. Czy mam panu powiedzieć, dlaczego ludzie tak wcześnie umierają i nie żyją tysiąc lat, tak jak czytamy w biblii o patriarchach? Są podobni do zielonych pędów drzewa; zapomnieli, że należą do pnia, dlatego wiedną pewnej jesieni. Ale miałem panu opowiedzieć, jak po raz pierwszy opuściłem moje ciało.

Istnieje prastara, ukryta wiedza, tak stara, jak ludzkość; zachowała się w spadku do dziś, dzięki przekazywaniu jej z ust do ust, ale tylko nieliczni ją znają. Pokazuje nam ona środki, przy pomocy których można przekroczyć próg śmierci, nie tracąc przy tym świadomości, a komu się uda, ten jest otąd panem samego siebie: zdobył nowe „ja”, a to, co dotąd uważał za swe „ja”, jest już tylko narzędziem, tak jak ręka czy noga są naszymi narzędziami.

Serce i oddech zatrzymują się jak u nieboszczyka, gdy nowo odkryty duch odchodzi, gdy odchodzimy jak Izraelici od garów z mięsiwem Egiptu, a po obu stronach stoją wody Morza Czerwonego jak mury. Długo i wielokrotnie musiałem to ćwiczyć wśród niewymownych i upokarzających udręk, aż wreszcie udało mi się oddzielić ducha od swego ciała. Początkowo miałem wrażenie, że unoszę się w powietrzu, tak jak niekiedy wydaje nam się we śnie, że potrafimy latać, z przyciągniętymi kolanami i zupełnie lekko, ale nagle znalazłem się w jakimś czarnym nurcie, który płynął z południa na północ. Nazywamy to w naszym języku „płynięciem w górę Jordanu”, i jego huk brzmiał jak szum krwi w uchu. Sporo podnieconych głosów z ust ludzi, których nie mogłem zobaczyć, krzyczało do mnie, żebym zawrócił, aż ogarnęło mnie drżenie i w głuchym lęku dopłynąłem do wyłaniającej się przede mną skały. W świetle księżycy ujrzałem jakieś stojące tam stworzenie, jakby niedorośle jeszcze dziecko, nagie i bez znamion męskiej lub żeńskiej płci; miało trzecie oko na czole jak Polyfem, i nieruchomo wskazywało drogę do wnętrza kraju.

Potem szedłem przez gąszcz po gładkiej, białej drodze, lecz nie czułem gruntu pod stopami, a także, kiedy chciałem dotknąć drzew lub krzewów rosnących wokół mnie, nie mogłem dotknąć ich powierzchni: zawsze pokrywała je cienka warstwa powietrza, która nie dała się przebić. Płowy blask jak ze zbutwiałego drewna pokrywał wszystko, co czyniło widzenie wyraźnym. Kontury rzeczy, które spostrzegłem, wydawały się miłkie, rozmiękczone i dziwnie powiększone. Młode nieopierzone ptaki z okrągłymi zuchwałymi oczyma siedziały przykucnięte, otępe i nadęte, podobne do tucznych gęsi, w olbrzymim gnieździe, i skrzeczały na mnie z góry, mała sarna, prawie niezdołna jeszcze do biegu, a jednak już taka duża, jak całkowicie rozwinięte zwierzę, siedziała leniwie we mchu, i tusta jak mops, ociężale odwracała głowę w moją stronę.

Ropusze leniwo w każdym stworzeniu, oto co mi się objawilo.

Stopniowo uświadamiałem sobie, gdzie się znajduję: w kraju, tak rzeczywiście i prawdziwie jakby w naszym świecie, a jednak tylko w jego odblasku: w państwie upiornych sobowtórów, które żywią się szpikiem ich ziemskich prakształtów, wykorzystują je, a same rosną do potwornych rozmiarów, im bardziej ich pierwowzory zamięczają się w daremnej nadziei i oczekiwaniu na szczęście i radość. Jeśli na świecie młodym zwierzętom zostaje zastrzelona matka i jeśli pełne ufności i wiary czekają i czekają na pożywienie, aż w męczarniach giną, powstaje ich widmowe odbicie na tej przeklętej wyspie duchów i ssie jak pajak uciekające życie istot naszej ziemi: znikające w nadziei siły bytu stają się tutaj kształtem i wybujałym chwastem, a ziemia jest zapłodniona użyźniającym tchnieniem zmarnowanego czasu.

A kiedy tak wędrowałem dalej, dostałem się do miasta pełnego ludzi. Wielu z nich znałem na ziemi i przypomniałem sobie mnóstwo ich zawiedzionych nadziei i jak z roku na rok chodzili bardziej zgarbieni, a mimo to nie chcieli wyrwać sobie z serca wampirów, ich własnych, demonicznych, licznych „ja”, które zżerały im życie i czas. Tu widziałem ich wzdętych do rozmiaru gąbczastych potworów z grubym kałdunem, z wytrzeszczonymi oczyma i błędzącym szklaniem spojrzaniem nad spęczniałymi niby słońciami policzkami.

Z jakiegoś domu bankowego z wywieszonym szyldem:

#### Kantor Wymiany FORTUNA

Każdy los wygrywa główną wygraną

cisnął się, głowa przy głowie, szyderczo wykrzywiony, ciągnący za sobą worki złota tłum o wargach wykrzywionych sytym mlaskaniem: zjawy wszystkich tych, którzy na ziemi stali się tuszczem i galareta, którzy wędną z niezaspokojonego pragnienia wygranej.

Wszedłem do jakby świątynnej hali, której kolumny sięgały aż do nieba; wewnątrz siedział na tronie ze skrzepniętej krwi potwór o ludzkim ciele z czterema ramionami, z ohydny ryjem hieny ociekającym pianą; bóg wojny dzikich, afrykańskich szczepów, które w swym zabobonie składają ofiary, by wyblagać zwycięstwo nad wrogami.

Pełen przerażenia uciekłem z tego pomieszczenia wypełnionego atmosferą zgnilizny z powrotem na ulicę, i stanąłem zdziwiony przed pałacem, który wspaniałością przewyższał wszystko, co kiedykolwiek widziałem. A jednak każdy kamień, każdy fragment, każde schody wydawały mi się tak dziwnie znajome, jak gdybym w wyobraźni sam kiedyś to zbudował.

Wszedłem po szerokich, marmurowych schodach na górę, jak gdybym był nieograniczonym panem i władcą tego domu; i tam, na tabliczce nad drzwiami przeczytałem moje własne nazwisko: Johann Hermann Obereit.

Wszedłem i zobaczyłem się sam w purpurze: siedziałem przy wspaniale zastawionym stole, obsługiwany przez tysiąc niewolnic; poznałem wśród nich wszystkie kobiety, które w życiu zaspakajały moje zmysły, nawet jeśli niektóre czyniły to tylko przez ulotną chwilę.

Ogarnęło mnie uczucie nieopisanego nienawiści gdy uświadamiałem sobie, że ten mój własny sobowtór upajał się tu życiem i hulał, i że to ja sam byłem tym, który powołał go do bytu i obdarował bogactwem, pozwalając wypłynąć z mej duszy magicznej sile mego ja w nadziei, utęsknieniu i oczekiwaniu.

Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że całe moje życie składało się tylko z oczekiwania w najrozmaitszej formie i tylko z oczekiwania, z pewnego rodzaju nieustającego wykrywawiania się, i że cały czas, który mi pozostał dla doznawania terażniejszości, liczył zaledwie godzinę. Jak mydlana bańka rozprysła się to, co dotąd uważałem za treść mego życia. Powiadam panu, czego byśmy na ziemi nie dokonali, zawsze rodzi się z tego nowe oczekiwanie i nowa nadzieja; cały wszechświat jest przesycony morowym powietrzem umierania zaledwie zrodzonej terażniejszości. Któż nigdy nie odczuwał wyczerpującej nerwy słabości, jaka nas ogarnia, gdy siedzimy w poczekalni lekarza, adwokata, lub jakiegoś urzędu? To, co nazywamy życiem, to poczekalnia śmierci. Wówczas nagle pojąłem, czym jest czas: my sami jesteśmy wytworami czasu, ciałami, które zdają się być materia, a są niczym innym, jak skrzepniętym czasem.

A czymże jest nasze codzienne osuwanie się w kierunku grobu, jak nie ponownym stawianiem się czasu, przy towarzyszącym mu zjawisku oczekiwania i nadziei — tak jak łód na piecu z sykiem znowu zamienia się w wodę.

Spostrzegłem, że drżenie przebiegło przez postać mego sobowtóra, gdy ta świadomość obudziła się we mnie, i że lęk wykrzywił jego twarz. Wtedy zrozumiałem, co mam zrobić: walczyć choćby nożem z fantomami, które nas wysysają jak wampiry.

O, wiedzą one dokładnie, dlaczego są dla ludzi niewidoczne i chowają się przed ich spojrzeniami, te pasożyty naszego życia; także największą podłością diabła jest takie zachowanie, jak gdyby nie istniał. I odtąd pojęcia „oczekiwania i nadzieja” na zawsze wykreśliłem z mego bytu.

— Myśle, panie Obereit, że załamałbym się już przy pierwszym kroku, gdybym chciał iść tą straszliwą drogą, którą pan odbył — powiedziałem, gdy starzec zamilkł — mogę sobie wyobrazić, że nieustanną pracą można w sobie zagłuszyć uczucie, czekanie i nadzieję; jednakże...

— Tak, ale tylko zagłuszyć! Wewnątrz „oczekiwania” pozostaje żywe. Musi pan przyłożyć siekiere do korzenia! — przerwał mi Obereit. — Niech się pan stanie jak automat tu na ziemi! Jak pozornie umarły! Niech pan nie wyciąga nigdy ręki po jakiś owoc, który pana pociąga, jeśli jest z nim związane choćby najmniejsze czekanie, niech pan nie porusza żadną ręką, a wszystko spadnie panu dojrzałe z nieba. Początkowo jest to oczywiście jakby wędrowka przez beznadziejne pustynie, często dość długa, ale nagle wokół pana rozgości się jasność, i zobaczy pan wszystkie rzeczy piękne i brzydkie w nowym, niewyobrażalnym blasku. Wtedy nie będzie już dla pana istniało coś „ważnego” czy „nieważnego”, każde zajęcie będzie jednakowo „ważne” i „nieważne”, i wtedy będzie pan zahartowany w smoczej krwi jak Zygryf, i będzie pan mógł powiedzieć: wypływam w bezbrzędne morze wiecznego życia z żagleń białym jak śnieg.

Były to ostatnie słowa, które Johann Hermann Obereit do mnie powiedział; nie widziałem go już nigdy więcej.

Tymczasem wiele lat minęło, starałem się, jak mogłem, pójść śladami nauki, jaką przekazał mi Obereit, ale oczekiwanie i nadzieja nie chcą opuścić mego serca.

Jestem za słaby, by te chwasty wyrwać, i nie dziwię się już, że wśród niezliczonych kamieni nagrobnych na cmentarzach tak niewiele z nich nosi napis:

$$\frac{V}{V} \mid \frac{I}{O}$$


NOWY ZARZĄD STOWARZYSZENIA WETERANÓW

GUSTAV MEYRINK (właśc. nazw. Gustav Meyer) ur. 1868, zm. 1932. Powieściopisarz i nowelista. Czołowy reprezentant austriackiego nurtu fantastyki grozy. Wzajemnie utwory: *Der Golem* (Golem, 1915) powieść, *Das grüne Gesicht* (Zielona twarz, 1916) powieść, *Das Wachstfigurenkabinett* (Gabinet figur woskowych, 1907) nowela. Opowiadanie: *J. H. Obereits Besuch bei den Zeitgeheim* (Odwiedziny J. H. Obereita u pifabek czasu, 1916) pochodzi z tomu *Fledermäuse* (Nietoperze, 1916).



## **BARDZO TRUDNO OSWOIĆ WIEWIÓRKĘ**

### **JAK WYŻEJ**

Banał z namaszczeniem podany  
nie przestaje być banałem.

### **BÓB, SZCZYPIOR, WŁOSZCZYŻNA**

Wszystko co nasze oddam za kaszę,  
a co nie nasze oddam na krzyż.

### **REZOLUCJA PROGRAMOWA**

„Mówią co wkładzie Polski do szeroko rozumianej kultury europejskiej nie można zapominać, że ważnym elementem będzie konieczność umiejętnego znajdowania swojego miejsca w zjednoczonej Europie nie tylko przez całą Polskę, ale również przez Polaków.”

### **PROTOKÓŁ WYBRAKOWANIA**

„Komisja stwierdziła, że barakowóz na kółkach jest zniszczony w 80% i nie nadaje się do użytku. Komisja proponuje odsprzedaż zdewastowanego barakowozu.”

### **MIESZAŃCY MIAST**

Świat jest za mały, ale oczywiście można wynająć mieszkanie na ostatnim piętrze i z łóżka patrzeć w niebo.

### **ROZEBRAĆ SIĘ NA MIEJSCU**

Plaskie brzuchy mają niewiele wspólnego.

### **ZAŚLEPIONE OKNO**

Wnikając w szczegóły, wycofał się w siebie. Swemu nastawieniu dawał wyraz długie lata.

### **JESIEN**

Może wreszcie się przejaśni?

### **SUPERMARKET**

Lepszy chips niż nic.

### **HODOWCY BZU**

Naprzeciw siedzimy i beczymy.

### **NAWET WIEDZĘ W PIGUŁCE TRZEBA PRZEŁKNAĆ**

Wszystkie przygody są jedną przygodą.

### **PRZECIĄGANIE STRUNY**

Poetą się nie jest, poetą się ubywa.

### **SŁOWO HUMORU**

Co oznacza, gdy kobieta bije się w pierś?

### **STAJĄC PO ZIEMI**

Przyszłość należy do kosmitów.

### **BARDZO TRUDNO OSWOIĆ WIEWIÓRKĘ**

Bardzo trudno oswoić wiewiórkę. Tym bardziej, że po co.